

Barbara Lewandowska (1929–2019)



Barbara Lewandowska
Źródło: CMJW

Pani Basia – bystre oczy, głęboki, dzwięczny głos, wyjątkowy takt, urzekająca pogoda ducha, duża siła i mądrość, z których można było czerpać, ile się chciało, bo chętnie nimi obdarowywała wszystkich naokoło. Nie znam wielu osób, które miałyby w sobie tyle magnetyzmu, ciepła, przenikliwości i życzliwości do otoczenia jak Ona.

Poznałam Ją późno, bo dopiero w 2014 r., dzięki Romualdowi Malinowskiemu, który na jednym ze spotkań warszawskich środowisk kombatanckich dowiedziawszy się, że i Ona była jeńcem Stalagu 344 Lamsdorf, przyczynił się do Jej pierwszej po wojnie wizyty w Opolu i Łambinowicach. Przyjechała wówczas do nas na uroczystość związaną z rocznicą przybycia pierwszego transportu powstańców warszawskich do Stalagu 344 Lamsdorf, którą organizujemy 6 października. Znałyśmy się więc zaledwie kilka lat, a jednak obrazów ze spotkań z Nią mam w pamięci sporo: Pani Basia przed mikrofonem podczas uroczystości na otwarciu naszej wystawy „Koniec i początek. Powstańcy warszawscy w niewoli niemieckiej” i przed Pomnikiem Powstańców Warszawskich – Jeńców Stalagu 344 Lamsdorf, po zakończeniu spektaklu *Przerzucane słowa*, z różą przy drutach w baraku jenieckim będącym scenografią teatralną, na kolacji z aktorami grającymi w tej sztuce i z pracownikami Muzeum,

na spotkaniach w Muzeum z młodzieżą, podczas Nocy Muzeów w „Paście” i w Jej domu, gdy wzruszyła nas bardzo, częstując po podróży z Opola smacznym śniadaniem, bo niewątpliwie zgłodnieliśmy... Wszystkie zapadły mi głęboko w pamięć i choć czas mija nieubłaganie, nie tracą na ostrości.

U podstaw prawie wszystkich rozmów z Nią była moja praca w Muzeum, dużo mówiliśmy więc o wojnie, ale nie tylko, również o codziennym życiu. Tak, Pani Basia, jak mało kto, potrafiła mówić o horren dum wojny i niewoli, które przypadły przecież na czas jej dorastania, i jednocześnie o pięknie życia, nigdy o nim nie zapominając. Mówiła bardzo wyraziście, obrazowo. Jej opowieści o tamtym czasie zawsze odnosiły się również do współczesności, której nie traciła z pola widzenia. Mówiła wolno, z namysłem, przepiękną polszczyzną, mocno skupiona i wpatrzona w słuchacza, wyczulona na jego reakcję, gotowa w każdej chwili optymistycznie spuentować swą opowieść. Przeciążać przecież nie wolno! Miałam także wrażenie, że każdy, kto tego słuchał, mimowolnie towarzyszył w Jej wojennych przeżyciach i – podobnie jak ja – był zdumiony spokojem, z jakim o tym mówiła. Ten spokój nie oznaczał jednak wcale pogodzenia się z wojenną przeszłością, raczej siłę, która kazała wbrew wszystkiemu żyć. Mimo że wsłuchiwałam się w te historie zawsze z dużym zainteresowaniem i uwagą, uświadomiłam to sobie niedawno, dopiero podczas lektury Jej obszernych wspomnień „Moje Powstanie Warszawskie”, spisanych pod koniec życia, które udostępnił mi Jerzy Pietras, syn jeńca Lamsdorf, powstańca warszawskiego, towarzyszący Pani Basi jako niezawodny opiekun podczas prawie wszystkich przyjazdów do Opola i Łambinowic.

W czasie powstania warszawskiego Barbara Lewandowska miała 15 lat (ur. 16 kwietnia 1929 r. w Warszawie) i będąc najstarszą z trojga rodzeństwa, wspierała z trudem dającą sobie radę matkę, Mariannę z domu Adamczyk, w utrzymaniu rodziny. Ojciec, Waław Lewandowski, urzędnik warszawskiego magistratu został aresztowany 2 lipca 1940 r. za działalność konspiracyjną i osadzony na Pawiaku, a po śledztwie – w KL Auschwitz, gdzie zginął 3 sierpnia 1942 r. (nr 2803). Nastoletnia Basia uczestniczyła więc w opiece nad młodszym rodzeństwem i organizowaniu zaopatrzenia domu. Uczyła się na tajnych kompletach i działała w 15. Żeńskiej Drużynie Harcerskiej Szarych Szeregów. Nie zadowalało Ją to. Chciała walczyć, by kontynuować dzieło ukochanego ojca. I walczyła, jednak nie z bronią w ręku. Wybuch powstania zastał Ją w centrum Warszawy, na placu Teatralnym. Dołączyła tam do oddziału powstańczego, który opanował ratusz, miejsce dobrze Jej znane, ponieważ wcześniej odbierała tam paczki żywnościowe, przygotowywane w ramach pomocy dla rodzin nieżyjących pracowników magistratu. W wyborze pseudonimu konspiracyjnego pomógł zapisujący ją kolega, radząc skrót od drugiego imienia: Wiktoria – Wikta, a Ona sama przekształciła na „Wirtę”. Została skierowana do grupy sanitariuszek z 3. kompanii Batalionu „Chrobry”, z plutonu 1116, i razem z nimi znalazła się w Oddziale Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa „Barry” – pluton „Dorsza”. Przyjęła obowiązki sanitariuszki i łączniczki najpierw w ratuszu,

następnie na Starówce, a 1 września ewakuowała się kanałem do Śródmieścia, przenosząc nielegalnie karabin ręczny z Batalionu „Chrobry”. W Śródmieściu Jej oddział kwaterował w rejonie ulicy Zielnej.

W czasie walk powstańczych „Wirta” wielokrotnie ocierała się o śmierć. W Jej wspomnieniach nie ma jednak strachu o własne życie. Jest natomiast bunt i całkowity brak zgody na śmierć przyjaciół. Jerzy, który zdobył dla Niej mały pistolet do samoobrony i zaprosił do katedry na powojenne koncerty ze swoim udziałem solo i w chórze, a zmarł z wycieńczenia, straciwszy prawą nogę w czasie nalotu „krów”. Wania, najpierw radziecki jeńiec, a wkrótce sympatyczny towarzysz walk, który zginął podczas tego samego nalotu, w jakim śmiertelnie ranny został Jerzy. Starsza o cztery lata Danusia, z którą „Wirta” rozpoczęła służbę, a która zmarła w wyniku obrażeń odniesionych podczas nalotu, w zasadzie nazajutrz po zaręczynach z nieprzytomnie w niej zakochanym Zbyszku. Odważny „Hamlet”, odgrywający rolę surowego starszego kolegi, ale w rzeczywistości troskliwy opiekun, który nigdy nie rozstawał się z za dużym hełmem, z wyjątkiem tego jednego razu, gdy – za radą dowódcy – zdjął go, układając się w korytarzu do drzemki, i został śmiertelnie trafiony odłamkiem. Wreszcie Niunia, która podczas ostatniego spotkania w szpitalu, gdzie leżała bez stopy, pytała Basię, czy będzie mogła tańczyć, bo bez tańca nie potrafi żyć... Wszyscy Oni pozostali z Nią. Wielokrotnie poprawiała martwej Danusi nowo uszytą i pierwszy raz założoną w tym dniu spódniczkę, podnosiła twarz Wani, szukając reszty głowy, patrzyła na lej po bombie, która trafiła w grób Jerzego przed kościołem garnizonowym, nic po nim nie zostawiając... Rozmawiała z nimi w snach i gdy w chorobie dokuczała Jej gorączka. Poświęciła im bardzo dużo miejsca we wspomnieniach, które spisała i którymi dzieliła się na spotkaniach z młodzieżą, zapewne nie tylko w naszym Muzeum. Jestem pewna, że nie jedynie ja je dobrze zapamiętałam.

Czytając jednak obszernie wspomnienia Pani Basi i zestawiając je z tymi uszyszanymi u nas, odkryłam, że w trakcie spotkań w Muzeum zdarzało się, że kopiowała losy swoich przyjaciół w historię jednej postaci (!). Chyba się nie mylę. Wątki są identyczne, także te w najdrobniejszych szczegółach, jak np. ten z momentu zaręczyn Danusi i Zbyszka, gdy sympatię „Wirty” wzmógł fakt, iż mimo ogromnej intymności całej sytuacji, para zachowywała się bardzo dyskretnie i tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, w jak ważnej chwili tych dwojga uczestniczą. W spisanych wspomnieniach wątki te dotyczą wielu osób. Czy Pani Basia maksymalnie w ten sposób skupiała uwagę swoich słuchaczy i w ciągu godziny mówiła im wszystko to, co uważała, że powinna, bo jest najważniejsze? Czy jej duże doświadczenie pedagogiczne i talent literacki podpowiadały takie rozwiązanie? Nie wiem. Będę jednak pamiętała atmosferę tych spotkań – na sali panowała absolutna cisza i całkowite skupienie, a gdy opowieść ucichła – jeszcze długo wymowne milczenie.

Po zakończeniu walk w Warszawie „Wirta”, przez obóz przejściowy w Ożarowie, trafiła do Stalagu 344 Lamsdorf. Przybyła tu będąc już chora na szkarlatynę, z wysoką

temperaturą. W jenieckiej ewidencji zapisano ją pod numerem 107186. Została poddana kwarantannie i umieszczona w osobnym baraku, sprawnie i pospiesznie stworzonym pod kierunkiem cieszącej się u wszystkich ogromnym autorytetem kpt. dr Jadwigi Beaupré, ps. „Malina”. W końcu października 1944 r., wraz z innymi chorymi, została przewieziona do Stalagu IV B/H Zeithain, który stanowił podobóz Stalagu IV B Mühlberg. Po wyzdrowieniu „Wirta” włączyła się w prace w kuchni i porządkowe, działalność obozowego teatru, którego reżyserem był Ziemowit Karpiński, uczyła się intensywnie, chcąc nadrobić stracony czas, a ważniejsze wydarzenia z życia obozowego utrwalała w wierszach. Dorastała – jak wszyscy wówczas – nazbyt szybko i jak całe to pokolenie została trwale okaleczona. Miała tego świadomość.

Wolność odzyskała 23 kwietnia 1945 r., wtedy obóz wyzwoliła Armia Czerwona. „Wirta” nie zastanawiała się, czy zostać poza krajem. Ruszyła z innymi w drogę powrotną do domu, do Warszawy, do rodziny, którą się znów zaopiekowała. Trudne warunki bytowe stanęły na przeszkodzie w realizacji marzeń, by wzorem „Maliny” leczyć ludzi, ale ukończyła studia na Wydziale Filozoficzno-Społecznym Uniwersytetu Warszawskiego. Wyszła za mąż za Jana Szymczyka, żołnierza 2. kompanii batalionu „Parasol” ps. „Bodek” i urodziła dwóch synów. Prowadziła działalność pedagogiczną oraz literacką. Przez wiele lat była związana zawodowo z Instytutem Wydawniczym „Nasza Księgarnia”, pełniła funkcje redaktora literackiego pisma dla dzieci „Świerszczyk”, a następnie redaktora naczelnego „Misia”. Z dziećmi i młodzieżą miała niezwykle kontakt, wręcz fenomenalną łatwość w jego nawiązaniu i utrzymywaniu. Jedno z warszawskich przedszkoli na Ursynowie, nr 395, przyjęło Jej imię, a Ona chętnie w nim bywała. Dużo energii poświęciła upamiętnieniu koleżanek i kolegów z powstania. Sama została również doceniona odznaczeniami, m.in.: Warszawskim Krzyżem Powstańcym, Krzyżem Armii Krajowej i Złotym Krzyżem Zasługi.

Zmarła 16 września 2019 r. Została pochowana na warszawskich Powązkach, ale bez ceremoniału wojskowego – nie życzyła go sobie, nie był dla niej ważny. Jej pogrzeb również będę pamiętać. Patrzyła na nas ze zdjęcia, dyskretnie i łagodnie się uśmiechając, w pięknym kapeluszu z dużym rondem. Ceremonię pogrzebową rozpoczął wiersz „Hipopotam”, jeden z najbardziej ulubionych przez wnuków, a potem były odczytywane następne, wybrane z wielu, jakie napisała i wydała w tomikach dla dzieci. Wydaje się, że mimo traumatycznych doświadczeń nie straciła wiary w człowieka.

Bardzo będzie nam Pani brakowało, Pani Basiu.

Violetta Rezler-Wasielewska